



Liberalizm–antyliberalizm: wiatr historii i ciągle niezakończona modernizacja

Andrzej WAŚKIEWICZ*

Organizatorzy konferencji postawili tak trafne pytania, że chciałoby się odpowiedzieć na wiele z nich, tym bardziej że nie zgadzam się z większością przesłanek, z których te pytania wyprowadzili. Sądzę bowiem, że liberalizm w Polsce nie ma takich tradycji, z których rozwinęły się idee liberalne lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Liberalizm został do Polski importowany, o czym przekonująco — w każdym razie dla mnie — pisał Jerzy Szacki jeszcze wówczas, gdy wydawało się, że ideologia ta dominuje wręcz w życiu publicznym. Szacki przedstawił też przyczyny owego cudu, a także szanse — jego zdaniem raczej nikłe — na to, że okrzepnie on w naszym kraju i nabierze, jak to nazwał, charakteru „integralnego”. Profesor Szacki zmarł w październiku 2016 roku, miał więc jeszcze sposobność przekonać się, że jego pesymizm był w pełni uzasadniony.

Nie będę szczegółowo mówił o tych przyczynach, niemniej w kilku zdaniach je przypomnę. Szacki zauważył, że pod nagłówkiem liberalizmu zebrały się wszystkie idee i instytucje, które wówczas wydawały się sympatyczne, takie choćby jak społeczeństwo obywatelskie. Pisał też o tym, że liberalizm importowany do Polski — liberalizm Isaiaha Berlina, a zwłaszcza Friedricha Augusta Hayeka — był najbardziej konsekwentnym antykomunizmem i właśnie jako taki zyskiwał na popularności. Szacki zwracał wreszcie uwagę, że ideologia ta zdawała się wówczas naturalną filozofią ludzi przedsiębiorczych, indywidualistów wyzwolonych z pęt kolektywizmu. Po dwudziestu pięciu latach od publikacji jego książki *Liberalizm po komunizmie* z każdą z jego tez możemy się

* Dr hab., prof. UW, Instytut Socjologii, Uniwersytet Warszawski. E-mail: a.waskiewicz@is.uw.edu.pl.

zgodzić. A jednocześnie teraz, kiedy liberalizm zdaje się wchodzić w smugę cienia, widzimy, jak bardzo na jego ówczesnym sukcesie zaważyły jeszcze dwa dodatkowe czynniki, na których chciałbym się skupić.

Po pierwsze, idee liberalne trafiły w ideologiczną pustkę, którą z biegiem lat zaczęły wypełniać tradycyjna myśl narodowa oraz, ciągle w znacznie mniejszym stopniu, ideologia niekomunistycznej lewicy. Do połowy lat dziewięćdziesiątych Polacy dzielili się głównie na zwolenników nowego i dawnego systemu (traktuje o tym między innymi praca Mirosławy Grabowskiej *Podział pokomunistyczny*), ale nawet do tych drugich ich polityczni reprezentanci nie mogli mówić w dawnym języku. To natomiast, że przywódcy zwycięskiego obozu nie sięgnęli po historyczne języki endecji i sanacji, zawdzięczamy Solidarności roku 1980. Dała ona III Rzeczypospolitej mit założycielski i jednocześnie oś sporu politycznego. Obóz posolidarnościowy nie legitymizował się żadną tradycją przedkomunistyczną; legitymizował się dziedzictwem Sierpnia 1980. Teraz też mógł się wreszcie spierać wewnątrz swoich szeregów bez obaw, że spory, rozpoczęte jeszcze na I zjeździe w 1981 roku, osłabią ruch wobec wspólnego wroga.

Tradycje myśli narodowej i lewicowej nie zostały w Polsce co prawda zapomniane, ale były nieobecne na salonach politycznych. To skądinąd znaczące, że pierwsze książki o myślicielach polskiej lewicy, także tej komunistycznej i komunizującej, napisało małżeństwo amerykańskich historyków, Timothy Snyder i Marci Shore. Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych Snyder, piszący wówczas doktorat o Kazimierzu Kelles-Krauzie, spytał mnie, jak polska lewica odnosi się do Róży Luksemburg, naprawdę nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć; nie odnosiła się przecież w ogóle! Lewica pokomunistyczna nie miała żadnego dziedzictwa, które by ją uwiarygodniało w państwie demokratycznym, dlatego też szybko nauczyła się nowego języka. Nie był to jednak język odrzucenia liberalnego ładu, ale jego korekty; to nie sprawiedliwość dziejowa, ale zwykła sprawiedliwość nie pozwalają tolerować biedy, szukania pożywienia na śmietniku, jak to ujął Leszek Miller jeszcze w opozycji. A rzecznik praw obywatelskich, profesor Tadeusz Zieliński, przekonywał, że państwo, w którym bezrobocie wynosi ponad dwadzieścia procent nie jest w ogóle demokracją. Można to ująć tak, że swoją retoryką lewica ciążyła w stronę języka progresywizmu, liberalizmu amerykańskiego, choć w istocie był to język moralnego oburzenia, wspierany przez idiom technokracji. „My to zrobimy lepiej”, deklarował Miller.

Podobnie było na prawicy. Owszem, już od początku transformacji zaznacza się — nawet instytucjonalnie — nurt narodowy, ale w debacie publicznej określenie „nacjonalista” jest raczej obraźliwym epitetem. I znów, jest rzeczą charakterystyczną, że aktywiści tego nurtu, protestując przeciw Aleksandrowi Kwaśniewskiemu — skądinąd najbardziej popularnemu prezydentowi całej III Rzeczypospolitej — występują pod hasłami „naszości”; tak jakby poczciwy tradycjonalizm nie przekroczył jeszcze progu świadomego siebie konserwatyzmu.

Idea „naszości”, a dziś byśmy powiedzieli „wsobności”, nie mogła jednak wówczas konkurować z obietnicą nowej tożsamości europejskiej. Prawicowy protest wobec liberalizmu wyrażał się więc wówczas także językiem czysto moralistycznym, choć bez żadnej technokratycznej domieszki — językiem Kościoła, który przywoływał wartości w taki sposób, jakby liberalizm był ich w ogóle pozbawiony, a legitymizował się wyłącznie skutecznością. Nie było to zresztą dalekie od prawdy, nad czym dziś oczywiście wielu liberałów ubolewa.

Rzeczywiście, liberalizm miał być filozofią sukcesu, indywidualnego i zbiorowego; sukcesu indywidualnego, który przekłada się na sukces zbiorowy. Na całą dekadę, nawet na dłużej, w liberalnej retoryce politycznej obywatele zmienili się w podatników. Istotą reformy, jak to ujął wicepremier Balcerowicz, było wyzwolenie energii Polaków, a miała się ona kanalizować właśnie w gospodarce. Sens wszelkiego działania — każdej cząstkowej reformy — wyznaczała ekonomia. Liberalizm początku lat dziewięćdziesiątych był filozofią modernizacji, był niemal równoznaczny z modernizacją, dla której nie ma alternatywy. Oczywiście już rok po jej rozpoczęciu rozpoczęły się protesty, ale nie została sformułowana żadna wyraźna koncepcja konkurencyjna. Bo przecież nie można za taką uważać przyjętego dziesięć lat wcześniej na zjeździe Solidarności programu Samorządnej Rzeczypospolitej.

Prawicowi krytycy liberalizmu, wśród nich Zdzisław Krasnodębski, autor *Demokracji peryferii*, zarzucali strategii liberalnej mimikrę — bezmyślne kopiowanie wzorów zachodnich bez odniesienia do tradycji rodzimej. Ale do jakiej tradycji można było się odwołać? Żadnej rodzimej tradycji liberalnej nie było. Nieliczni polscy liberałowie okresu dwudziestolecia międzywojennego, skądinąd krakowscy (pisałem o nich pracę magisterską), też mieli poczucie, że Polska nie jest dla liberalizmu krajem przyjaznym. Nie było też żadnej innej tradycji — i żadnych wzorów — przejścia z ustroju autorytarnego politycznie i scentralizowanego gospodarczo do demokracji i wolnego rynku. Liberałowie polscy mieli świadomość, że Polska, a także inne państwa środkowoeuropejskie, wykonuje pracę pionierską. Na niewiele nawet zdawał się tu przykład Hiszpanii, do której snuje się w Polsce analogie już od czasów Joachima Lelewela.

Liberalizm nie mógł opierać się na żadnej tradycji, ale ta słabość była w istocie jego siłą. Żadnej tradycji bowiem on nie potrzebuje. Nie potrzebuje, ponieważ odwołuje się do rzekomo uniwersalnych idei politycznych i ekonomicznych, do zasad, którymi rządzą się normalna gospodarka i normalna polityka. Zapewnia, jak to ujął Balcerowicz, życie udane, a nie udawane. Normalne życie, czyli wolne od tego wszystkiego, co Polacy odrzucili z komunizmem i jego kosmiczną gospodarką. Ahistoryczny z natury, liberalizm doskonale nadawał się jako program modernizacji kraju, w którym zniszczona została wszelka tradycja życia politycznego. Bo też nie można brać na poważnie zapewnień jego przeciwników, że w kraju żywa jest tradycja republikańska — tradycja I Rzeczypospolitej, cudem wskrzeszona przez Solidarność.

To, że modernizacja miała akurat charakter liberalny, zawdzięczamy więc niczemu innemu jak powiewowi wiatru historii: znad USA, znad Wielkiej Brytanii, znad Chile. Szacki ujął to dowcipnie — widmo krąży po świecie, widmo liberalizmu. Dotarło do Polski we właściwym dla siebie czasie. Ani wcześniej, w roku 1980, ani później, powiedzmy w roku 1997, idee liberalne nie przyjęłyby się na tyle, by odmienić oblicze ziemi (tej ziemi). Chętnie przypomina się powiedzenie Józefa Stalina, że komunizm pasuje do Polaków tak, jak siodło do krowy. I tak też pewnie byłoby z liberalizmem w 1990 roku, gdyby nie to, że jawił się wówczas dość powszechnie jako szybka droga do normalności. I choć nie był narzucony tak jak komunizm, to w pewnym sensie był również ideą oktrojowaną.

Szacki zwraca uwagę na oczywisty paradoks: liberałowie z ich genetyczną nieufnością wobec państwa sami mieli teraz budować nowe państwo i, co więcej, to państwo miało jeszcze ukształtować nowe społeczeństwo, społeczeństwo gospodarki rynkowej. A jednak paradoks ten nie był aż tak paradoksalny. Takie etatystyczne myślenie ma tu bowiem dłuższą tradycję, sięgającą początku odrodzonego państwa w roku 1918. Nie było wówczas właściwie żadnej siły politycznej, która do realizacji swoich celów nie chciałaby zaprząć państwa. Adam Heydel, liberalny ekonomista o narodowej orientacji politycznej, przytacza charakterystyczną anegdotę. W latach trzydziestych XX wieku powstała w Polsce Liga do Walki z Etatyzmem. W pierwszej swojej uchwale zwróciła się do państwa o dotację dla swej działalności. Jeśli zatem musimy już mówić o jakiejś tradycji polityki w Polsce, żywej tradycji, to jest nią właśnie etatyzm.

Polacy pytani, czego oczekują od państwa, odpowiadają — oczywiście na różne sposoby — że tego, by zapewniło im ono normalne życie. Mogłoby się wydawać, że nie są zbyt wymagający, gdyby nie to, że owa norma jest dość wysrubowana. Kiedy bowiem mówią o „normalnym świecie”, nie mają przecież na myśli niczego innego jak bogaty Zachód, który skądinąd coraz lepiej znają. I choć nie dzieli nas już od niego przepaść cywilizacyjna, to tym dotkliwiej odczuwalny jest dystans widoczny we wszystkich dziedzinach życia. By nie drażnić gospodarzy, na przykład smogiem, powiem tylko o swoim drugim stołecznym mieście. Czy w normalnej europejskiej stolicy metro ma tylko jedną linię i pół? Czy można do niej dojechać autostradą, ale tylko od zachodu? I dlaczego w jej centrum stoi nadal tylko Pałac Kultury i Nauki? Ciepła woda w kranie to rzeczywiście nie jest coś na miarę aspiracji Polaków, nie wystarczy.

Można więc przypuszczać, że choć wyłożony w slajdach Program zrównoważonego rozwoju nie przekonuje może ekonomistów, to trafia jednak do masy wyobraźni. Charakterystyczne jest już jego motto, cytata z Piłsudskiego: „Polska albo będzie wielka, albo nie będzie jej wcale”. Tymczasem liberałowie zdają się godzić z tym, że w społeczności międzynarodowej, w międzynarodowym podziale pracy, Polska jest średniakiem i takim pozostanie. Ale, powiedzą etatyści, czy to normalne, by kraj wielkością dorównujący niemal Hiszpanii,

o wiele większy od Szwecji czy Holandii, znaczył w świecie tylko tyle, ile teraz znaczy? Czy to normalne, że montuje się tu tylko samochody pod obcymi markami, a nie produkuje żadnej własnej? Czy to normalne, że Polska nie ma właściwie żadnego produktu znanego na świecie? Że nie udało się go stworzyć przez niemal trzydzieści lat? Przyznać chyba należy, że nie trzeba być nacjonalistą, by szczerze odpowiedzieć, że nie.

Przez dwadzieścia lat polska prawica przystępowała do wyborów z przesłaniem przewrótca okrągłego stołu i budowy nowego porządku, nazwanego po aferze Rywina IV Rzeczpospolitą. W kampanii 2015 roku ten motyw w ogóle się nie pojawił! Nie było mowy o tym, że Prawo i Sprawiedliwość (PiS) wraca do władzy, by dokończyć dzieło brutalnie przerwane w roku 2007. Ale skoro po ośmiu latach rządów Platformy Obywatelskiej (PO) i Polskiego Stronnictwa Ludowego (PSL) partie te pozostawiają po sobie „państwo teoretyczne”, to teraz PiS może przystąpić do wyborów z przesłaniem odbudowy normalnego państwa. Na potrzeby kampanii zostaje ono podkreślone do sloganu „Polski w ruinie”, ale nawyki do przesady wyborcy wyczytali z niego to, co należało. Podobnie na arenie międzynarodowej, zwłaszcza unijnej: antyliberalna normalność oznacza *sacro egoismo*. Nie ma tu miejsca na argument, że żyjemy w porządku międzynarodowym, w którym lepsze rezultaty przynosi współpraca. PiS postrzega bowiem ten porządek inaczej, na sposób bliski socjaldarwinizmu; nie przypadkiem ulubionym filozofem prezesa jest Carl Schmitt, który politykę traktuje jako wojnę bez użycia fizycznej przemocy.

Niestety, nie jest on w tym teraz odosobniony, bo wiatr historii przywiął populistyczny antyliberalizm do wielu krajów Europy, nie oszczędzając również tych, które przed kryzysem ekonomicznym roku 2008 uchodziły za modelowe demokracje liberalne, za kraje normalne. W moim przekonaniu zwycięstwo PiS nie ma jednak nic wspólnego z krachem neoliberalnego porządku na świecie; nie on i nie jego skutki dały w Polsce władzę partii antyliberalnej. Polska tego kryzysu praktycznie nie doświadczyła, a jednak stworzył on także w naszym kraju taki klimat intelektualny i emocjonalny, w którym przynajmniej antyliberalna retoryka rządzącej partii nie brzmi anachronicznie. Ale też, szczęśliwie, z tego właśnie względu na jej porażkę nie musimy czekać na ponowny powiew wiatru liberalnego, na który nie zanoszą się szybko.

Półtora roku rządów PiS obrośli już bowiem własnymi patologiami: Miśkiewiczami i Szyszkami. Rzec można: nic szczególnego, normalne patologie każdej władzy, nie tylko władzy antyliberalnej. Moim zdaniem to właśnie one, a nie faktyczny demontaż liberalnej demokracji z jej podstawową zasadą podziału władzy, zdecydują o porażce partii Jarosława Kaczyńskiego w najbliższych wyborach. Obecna ekipa, wymachująca sztandarem sanacji, skompromituje po prostu swoją politykę przywracania normalności. I większą rolę odegrają w tym — już odgrywają — tabloidy ujawniające grzeszki władzy niż poważna prasa informacyjna i publicystyczna, opisująca jej wielkie grzechy, grzechy

śmiertelne. Świeżo pozyskany, centrowy elektorat odrzuci „państwo PiS” nie jako rządy abstrakcyjnych zasad, ale konkretnych ludzi. Partie nominalnie liberalne wygrają znów pod hasłem „przywrócenia normalności” po szaleństwach i aferach obecnej władzy. I swój plan normalizacji pewnie zrealizują w jakiejś mierze w instytucjach politycznych. Na względnie liberalną politykę gospodarczą odważą się jednakże tylko wtedy, gdy kryzys finansów publicznych będzie na tyle głęboki, że pozwoli ją ukryć pod tym samym, znajomym sloganem „przywrócenia normalności”. Bo tylko o to przecież chodzi Polakom, żeby „żyć w normalnym państwie”.